

Krzysztof Fedorowicz

## **VLASTA VESNA [fragment powieści]**

### **I. Nieskończoność jest sensem wschodu. Albo masz ją w mocno – nieskończenie – powiększonych źrenicach, albo jesteś z innej parafii**

W ten ostatni dzień października przechodzę za słońcem z jednej strony ulicy na drugą. Cień wyraźnie dłuższy i promienie ledwo sięgają za kamienice. Jesienią nawet w środku dnia cień znaczy mrok, a słońce jakoś kojarzy się z wiosną.

*Nebe nad Zelenou Horou*, ale mocniej zabrzmiał tytuł *Niebo nad Günbergiem*. Taki film by się przydał, tak jak jest *Niebo nad Berlinem*. Ostatnio pokazywali w telewizji *Niebo nad Paryżem*. Już widzę to *Niebo nad Grünbergiem*: anioł patrzy z wysokości błękitu na park Tysiąclecia, gdzie przewodniczka dusz Hanka Klepacka, aktorka Teatru Lubuskiego, przywodzi chór Ursulek, młodych kobiet, które w 1945 roku wolały popełnić samobójstwo, niż wpaść w łapy czerwonoarmistów.

Chór śpiewa wśród kolumn grobowca Georga Beuchelta, w ostatnim ocalałym cmentarnym grobowcu, a z kamienic przy dawnej Bahnhofstraße – gdzie jesienne słońce nie dochodzi, bo ulica pod północnym stokiem rozległego wzgórza – odpada tynk i ukazują się niemieckie szyldy. Na szybach bogatych domów rozkwita winorośl i ulica wypełnia się głosem mieszkańców. Na rozżarzonych jesiennym słońcem wzgórzach rozpadają się wieżowce i bloki z wielkiej płyty, z pachnącej wilgocią ziemi wyrastają krzewy winne i niczym amerykańska stonka opanowują miasto.

W parku Tysiąclecia podnoszą się kościotrupy, idą na ulice, do nabotów i winnic. I patrzy na to anioł, w którego wcielił się Peter Falk, czyli porucznik Columbo. Słynny aktor obserwuje całe zmartwychwstanie, Hankę Klepacką, która wskrzesza Grünberg i mnie też widzi, jak patrzę w tym parku na Hankę i rozglądam się za aniołem.

Więc ruszam przed siebie. Najpierw Bahnhofstraße, czyli współczesną Niepodległości, ale raczej Bahnhofstraße. Bo wtedy ta ulica była piękniejsza i zielona, no i teraz z każdego okna wygląda przeszłość, nie teraźniejszość. Patrzy, jakby mówiła hola, hola koleżanko, ciebie tu nie ma, a jeśli nawet jesteś, to jakąś marą, snem. Słabo jesteś, za słabo, żeby być. Na byt to za mało. Może jakby jesteś, ale nie jesteś.

I pomyśleć, że jeszcze w roku 1989 czy 1987 nie było tutaj przeszłości. Jakoś wykwitła później, grzybem na murze, ale też dywanami konwalii i fiołków.

Leżę pod kocem, piję jaśminową herbatę i szeroko otwartymi oczami patrzę w pustą białą ścianę. Jestem w starym ponemieckim domu zbudowanym na skraju miasta o czeskiej i delikatnej jak łądyga czerwonego maku nazwie. W tym długim, wiejskim, co zachował skrzynkowe okna. O niczym konkretnym nie myślę. Ale jemu – jeśli wcielił się w rolę Anioła – pewnie zdaje się, że coś wspominam albo o czymś marzę. A może widzi mnie w poczekalni dworca z czerwonej cegły. Bo w moich oczach jest podróz, droga na wschód, tam, dokąd idą ciemne chmury.

Tymczasem przeglądam stare widokówki. Na tej jest on, Seifert. Na białej ścianie wyświetla mi się film.

W domu na prawym brzegu rzeki mieszkał przewoźnik. Miał trąbkę i psa, a po 1945 roku jakimś cudem udało mu się zostać. Może dlatego nie został wypędzony, że nikt z nowych, nowo przybyłych, nie garnął się do jego roboty. Do tego, by od świtu do zmierzchu przeprowiać krowy, konie i ludzi. Tak jak wszyscy, albo prawie wszyscy, urodzeni dawnymi czasy na tych ziemiach mówił po niemiecku. Ale też, co nie było tutaj rzadkie, nosił czeskie nazwisko. To samo, które później rozślawiło Czechy – a w zasadzie Czechosłowację. To samo, które nosił słynny poeta z Czech, laureat Nagrody Nobla z roku 1984.

Przymykam oczy i widzę, jak on, czekając na ludzi głodnych przeprawy, siedzi na ławeczce przed domem i gra. I słyszę te długie dźwięki, szybkie i powolne kadencje, które tuż nad wartkim nurtem rzeki mieszają się z ciszą przerywaną pluskiem ryb i łopotem skrzydeł startujących gęsi. Seifert ma wilkopodobnego psa, który w takich chwilach leży u jego stóp, trzymając długą głowę na jeszcze dłuższych ciemnych łapach.

Latem czas płynie powoli. Mężczyzna nie uważa swojej pracy za ciężką. Zimą zaś, gdy rzekę skuwa lód, ma wolne. Zakłada narty i biegnie do przyjaciela. Ten mieszka po drugiej stronie, we wsi oddalonej jakieś sześć kilometrów od urwistego lewego brzegu.

Mężczyźni zaszywiają się w piwnicy, by dekantować wino, albo ruszają na winnicę. Seifert lubi pomagać. Wie zresztą, jak ważne jest cięcie zimowe – ojciec uprawiał winorośl w Grünbergu, na stoku nad Stawem Luizy. Więc zanim syn wyfrunął z gniazdka, zdążył odebrać niezłą szkołę.

Przewoźnik psa zabiera ze sobą, gdy opuszcza dom na dłużej. Pies jak pies – biegnie obok pana. Łapy odciskają się w śniegu równoległe do dwóch równoległych linii, które zostawiają narty. Później wilkopodobny czworonóg z radością wita przyjaciela swego pana, liże po twarzy i rękach.

Pies Seiferta docieka, że każdy facet, wcześniej czy później, musi mieć swego psa. I wreszcie któreś zimy u boku Bartscha widzi młodego brązowo-czarnego kundelka. Szybko zaprzyjaźnia się z nim i zaraz zabiera na włóczęgę. Gdy mężczyźni beztrąsko zlewają wino, psy przemierzają pola i lasy, nie zdając sobie sprawy, że mogą wpaść we wnyki bądź w łapy nadgorliwych myśliwych.

Minęło 70 lat. Nowi polskojęzyczni mieszkańcy interesują się tym, kto dawniej mieszkał w ich domach. Czasem słyszą trąbkę nad rzeką albo widzą prom, którego nie ma od lat. Może nie tak dosłownie widzą, ale na pewno wyobrażają i śnią. Aż pewnego dnia do domu, który kiedyś należał do przyjaciela Seiferta, przychodzi właśnie ten wilkopodobny pies zza rzeki i liże po twarzy gospodarza.

W powietrzu zapach czerwcowej burzy i wieczorne bicie dzwonów z gotyckiego kościoła z wieżą z epoki baroku.

Oglądając świat z pewnej wysokości, niczym anioł wcielony w porucznika Columbo, widzę, jak wąska uliczka prowadzi Franza do knajpy z postrzyżyńskim piwem.

Pierwsze Franz zwykle połyka. Jak są połykacze ognia, tak są połykacze piwa. Zostaje tylko piana na ustach. Drugie zajmuje kilka minut.

Przez kufel z grubego szkła widzi mnie wśród maków przeplatanych chabrem. Mijał dziś tę łąkę i nie mógł tego przeoczyć. Jeśli ciało jest białe – podobną do tej nieskazitelnie białych chmur, które płyną nad białym jak niebo ciałem – to piersi w jednej chwili są ciemne i jasne. Czerwień głębsza i twardsza niż maków. Niebieskości chabrow – lśnienie wzgórza. Biel mocnych ud, które niosą burzę.

Za knajpianym oknem ciemne chmury wędrują z północnego zachodu na południowy wschód. Stamtąd – tam. Znikąd – gdzieś w kierunku Hradec Králové u Hradec Kralove i Pardubic.

Franz mieszka w Josefovie, a teraz jest w tej piwiarni w moim miasteczku. Zelená Hora brzmi jasno. Uroczyście i odświętnie, ale po cichu i na co dzień. Bez fanfar i na uboczu. Jest jak kilkupiętrowe podwórze, które stopniami z ciosanego kamienia pnie się na wschód. Niezmienione od dobrych stu lat. Niezmienne i staroświeckie jak moje imię, Vlasta.

Silesia znaczny wzgórza, dalekie perspektywy, malownicze wieże kościołów. Równowaga pól i lasów. Gdzieniedzie z przewagą pól, gdzie indziej więcej gęsto rosnących drzew. Zelená Hora – wyspa położona nieco wyżej i wyznaczająca północno-zachodni kraniec krainy. Wzniesienia blisko siebie, chwilami – albo miejscami – robi się ciasno. Na szczęście zabudowa nie jest zbyt gęsta – taka jak w przeciętnej stolicy powiatu. Rynek i długą ulicę od dworca do ratusza umieszczono na tarasie. Między szerokim stokiem wznoszącym się w stronę słońca i tym schodzącym w dół. I samo miasto jakby rozplywa się na wszystkie kierunki świata. Wylewa, wycieka i wspina. Bo i na zachód, i na wschód, i na północ, i na południe wychodzą jakieś drogi z domami zakotwiczonymi w sporej odległości od siebie. Tym większej, im dalej od rynku.

Miasteczko oparte na tym, co udało się wyłowić z przeszłości. Wszystko musi pochodzić stąd, wiązać się z tą ziemią. Z tym czasem, który minął i pozostał w konkretnych przedmiotach. Stare szyldy i wciąż żywe odcienie kamienic. Proste sosnowe

meble. Frez na ramie okna. Odcień, który w ciemnym korytarzu wypęła spod warstw farby. Spękana mozaika posadzki, co potem się śni.

A już za miastem dwie wieże w niespokojnym, żywym, szeroko otwartym krajobrazie. Jedna strzelista, ceglana. Druga podobna, ale jasna, tynkowana, biała w żółtych ramach. Odziane w suknie do ziemi stoją wśród fal zastygłych podczas sztormu. Z drugiej strony surowa pojedyncza romańska dzwonnica na tle wznoszącej się, wypiętrzającej i bezkresnej zielonej dali. Z lewej świat pierwotny, dopiero co zasiedlony. Z prawej okrzepły, postprotestancki, postbachowski, ponowoczesny, ale wciąż usidlony przez naturę. Ziemia oglądana z wysokości – z tego tu wzgórze – rzeczywiście sprawia wrażenie kuli, a przynajmniej talerza. Świat odmierzony cyrklem, wpisany w koło. Tak jest w południe. Wieczorem przestrzeń się zagęści. Obok wież przysiadą garby świątyń i wioski zblizną się do szosy. Jakby z obawy przed nocą.

Pasy zieleni. Piętra, które rozchodzą się, jakby tutaj właśnie stwórca odbijał od wody płaskie kamienie. Potężne fale dzieli spora odległość, więc dalekie, kilkudziesięciokilometrowe perspektywy. Jadę w dół, na złamanie karku, i widzę wyraźnie jasny kopiec, na którym biało-żółta wieża. Przed nią pas zielonych i żółtych pól.

Zaraz wszystko tracę, by widzieć długi – może dziesięciokilometrowy – pas drogi, co prowadzi na tę najbliższą najdalej górze. Wzdłuż szosy odwróceni tyłem pojedynczy ludzie. Siedząc na plastikowych wiadrach po emulsji, patrzą w te świątynie, w dal, horyzont. Jakby jagody i grzyby, które tyle godzin zbierali, nie miały już żadnego znaczenia.

Borov, a dalej znów Borov. Pierwszy – porzucone pałace i domy na wysokiej kamiennej podmurówce. Czasem w ruinie, ale wciąż zamieszkałe. Czasem jakby odnowione: zmienione nie do poznania – wymalowane pstrokatą, pomarańczową, buraczkową albo różową farbą, nie widać już kamienia czy cegły. Jesienią odcinają się od krajobrazu wypłowiałych traw, bezlistnych drzew, mgły i szarego nieba. Nie pasują, przeniesione z tandetnego świata, co nie ma nic wspólnego z tym prawdziwym. Objawionym w wystającej spod tynku dacie 1866, w mansardowym oknie, rozłożystym jak kasztanowiec podwórzu, które jest zasiedlone przez dom w towarzystwie dwóch wielkich stodół.

Prosty i poufały tysiącletni kościół świętego Klemensa po lewej na pagórku. Mozaika cegły i kamienia sklejona gliną i wapnem. Stary sad, a wcześniej hala pełna kapusty. Dalej wzgórze, co zapowiadają sztorm. Szerokie od wschodu po zachód idą z północy na południe. Droga na płaskowyżu. Drewniane słupy, z których nisko wiszą czarne kable. Mgła. Na wprost w dolinie Nové Město – trzy wieże, co jak szpaler drzew stoją w jednej linii.

Borov i Jakubov albo Borów i Jakubów: winnice i średniowiecze. Zapomniane kościoły głoszące słowo, które stało się ciałem. Wcześniej pogańskie wierzenia wywodzące Vlastę Vesně z mgły. Albo mówiące o tej, która jest mgłą.

I tak jadę na południowy wschód. Widzę wzgórza i to jak między nimi przed tysiącem lat szły pielgrzymki na ten zachodni kraniec wschodu. Z serca heretyckich Moraw do Jakubova, który wówczas też był morawski i heretycki, i gdzie niejeden syn Wielkich Moraw pił z źródła życia. Widzę Morawy, co obejmowały obszar, gdzie jest to moje miasteczko o pastelowej nazwie.

Gadam z kimś i albo ma w oczach tę dal, albo nie. Ma w nich przestrzeń albo pustkę. Widzę swoje oczy w jego oczach. I widzę szron, śnieg, tory i białe powietrze. I to, że ziemia zbiega się z niebem. Że jedno i drugie utkane jest z tej samej materii. Pole jest niczym drabina i tak samo sklepienie jest opartą o wschód drabiną. Pofałdowana i tylko na ułamek sekundy płaska przestrzeń to wykres pracy mojego serca. Albo inaczej: moje ciało wybiera ziemię, która mu pasuje. Tym lepiej, że nierówna, zmienna i niespokojna. Pełzam, przemieszczam się, poruszam, zahaczając wzrokiem o widnokres zgodny z moim pulsem. Zapachem, który noszę w sobie. I kształtem, którym jestem.

Widzieć brukowaną ulicę wysadzoną lipą drobnolistną, znaczy być u siebie. Tak samo – aleję topolową pośród wzgórz, kasztanowce do ruin młyna i następnej wsi. Dęby czerwone, co w ostrych zakosach prowadzą na pagórek.

Nie ma nic prócz wiosek z oddalonymi od siebie albo pozlepianymi domami. Jedne czyste, i takie jak przed wiekami. Zadbane, zwrócone do drogi. Z kościołem mniej więcej pośrodku. Czerwone dachy i jasny tynk. Malowniczo przycupnięte na wzgórzach albo w wygodnej dolinie.

I te zdegradowane, ograbione, pozbawione nadziei. Postkomunistyczne, popegeerowskie, poczerwone. Niektóre nawet z czerwonymi hasłami wymalowanymi czarną farbą na wielkich czerwonych ceglanych stodołach. Osady odrapane, szare. Z małym blokowiskiem na końcu albo w środku. Jakimś gettem za murem, na którym przesiadują brudne dzieciaki. Zamieszkałe przez ludzi, którym prawie nic się nie chce. A to „prawie” stawia na granicy bytu. Prawie są i prawie nie istnieją. Ci nawet bardziej swojscy, bardziej nasi, niż tamci z pięknych i bogatych wiosek. Jedni głodni. Drudzy – naźarci. Jeszcze niedawno tych było więcej niż tamtych. Może dlatego bliżsi, że „niedawno” jest dłużej niż „teraz”. Mocniej siedzi w człowieku. Weszli w ten świat głęboko i naturalnie, ale tracąc z oczu horyzont. Jak Boga, wyrzekli się horyzontu.

Destrukcja przyszła z krajobrazu, z przestrzeni, której trudno się oprzeć. Wschód – odwrotnie niż zachód – jest pełną wirów, mielizn i rojstów dziką rzeką. Jak niepokoi, to pociąga.

Za wioską aleja starych rachitycznych śliw i jabłoni. Po lewej pole ograniczone przepaścią, gdzie Pliszka, rzeczka nosząca ptasią nazwę. Za plecami – a zatem na południe – osady o imionach od osiadłych niegdyś Węgrów i Cyganów. Albo noszą czeskie nazwy, ale pisane po polsku. Jak Podła Góra.

To zachodni kraniec wschodu. Północno-zachodni kres Śląska, Wielkich Moraw, Czech i Austrii. I tutaj – jak w lustrze – też jest Bukowina, Podole, Czerniowce, Drohobycz, a nawet Kiejdany i Wiedeń. Ten wschód, te wszystkie wsie i miasta przywlekły się w eszelonach, z transportami prawobrzeżnej części wschodu.

Ludzie trochę pomieszali się, ale i nie pomieszali. Trzymają się z daleka ci z Ukrainy od tych z Litwy. Choć i tak wszyscy z nowej tutejszej grząskiej gliny.

Ta ziemia z odkrytymi polami i dużymi połaciami lasów jakoś upodobniła się do tamtej. Zapomniane cmentarze, ruiny dworów i pałaców, drogi idące na kraniec świata. Olchy, grzęzawiska i okaleczone sady. Lato próbuje ukryć melancholię, ale ta wyłazi jak tylko liście zaczynają spadać z drzew, i pozostaje do maja.

Bratobójcze wojny, najazdy, zaraza, wojna trzydziestoletnia, wojna siedmioletnia, pegeery i Rzeczpospolita. Każda zmiana zwrócona przeciw materii. Silesia pogrążona w przedsowieckim, sowieckim i postsowieckim wchodzie. Ceramika – choćby w postaci gliny zaschniętej na podszwach – jest tutaj najważniejszą pożywką archeologów. Kultura łużycka, a potem już tylko kultura tworów glinianych. Świat nieprzemijającej mgły i gliny.

Kształt wschodu przypomina banalną połówkę jabłka. Gdy jestem zwrócona na północ, rodzinne miasto jest w tym ostrym kącie po lewej – na zachodnim krańcu wschodu. Na godzinie ósmej trzydzieści. Drugi taki ostry kąt jest nieskończony. Gdzieś po północno-wschodniej części mapy przecina Wilno i godzinę drugą.

Ogonek jabłka skierowany w dół, na Rumunię, a może Bułgarię. A może sięga jeszcze niżej, bo też nieskończony. Nieskończoność jest sensem wschodu. Albo masz ją w mocno – nieskończenie – powiększonych źrenicach, albo jesteś z innej parafii.

I znów z krajobrazu uporządkowanego w chaos zniszczonych wsi i podgórszych osiedli. I tak przez Jawor, Bolków, Kamienną Górę, aż po Trutnov.

W Bernarticach – jeszcze przed Trutnovem – zawracam auto. Akurat kiedy zderzak sięga osi jezdni, z góry pędzi rowerzysta. Jakimś nadprzyrodzonym ruchem bioder omija przeznaczoną przeszkodę. Mknie bez świateł. Nie mogę go widzieć. Ciemno. Czy rzeczywiście przemknął? W ogóle: co jest snem, a co jawą? Szkoda, nie szkoda – słowa, nad którymi ostatnio myślę. Żal, nie żal. Albo: żal nie żal, szkoda nie szkoda. Zdania ze snu czy nie ze snu. Co znaczą?

Patrzeć w lusterko to mój psi obowiązek. I takie patrzenie może nawet leczy z żalu i nostalgii. Mijam jakieś miasteczko i przez chwilę mogę za nim popatrzeć. Nie dłużej, bo jestem w ruchu. I zaraz pojawią się nowe obrazy, które przykryją, zamalują poprzednie.

Choć prowadzenie auta nie ma nic wspólnego z filozofią, terapią czy rozmyślaniami, to o ile wyjeżdżam z żalem – te migocące obrazki mogą na coś się przydać.

Trutnov jest miastem w odcieniach beżu pończoch. Od prawie żółtego po niemal brązowy. Może kojarzyć się z barwą piwa, ale bliżej stoi beżu i materii sukna. Jest nisko zawieszonym słońcem i polem kukurydzy o długich żółtych i brązowych liściach, twarde. Jak twardy potrafi być w lipcu rzepak wyrastający z chłodnej wilgotnej ziemi. Właśnie: tam na tym polu rosła kukurydza czy rzepak?

Po osiemnastej ulice bez aut i ludzi. Zamknięte sklepy. Tylko pełne altany przy knajpach rozsypanych po osadach jak przystanki i kościoły. Wcześniej, przed granicą, tylko przystanki i kościoły. I neony sklepów z cieniami ludzi pijących na stojąco piwo.

Między Trutnovem i Náchodem domy i rwące strumienie na pochyłościach, jedne na drugich, jakby wbrew sile grawitacji. Jakby ta spoczywała gdzie indziej, nie sięgała tych gór. A jednak ulice płyną deszczem. Są deszczem, trudno myśleć o nich bez deszczu.

Ten tu świat jest z nieco innej gliny. To co inne pobrzmiwa dziś dobrze i smakuje. Architektura bez pamięci, bez wyraźnych kształtów. Mało realna, zamazana, niewyraźna. Spowita nocą i deszczem.

Od pewnego momentu drogowskazy na Náchod zaklejone. Nie widziałam objazdu, jadę mimo białego okrągłego znaku z czerwoną obręczą. Ten znak jest wyobrażeniem pustki. Tak musi wyglądać nic. Ale czy za znakiem na pewno jest to, co obiecuje. Może postawiony na wyrost, bo zacznie obowiązywać od jutra. Jadę tak już dobre kilkanaście kilometrów. Więc, chciał nie chciał, zbliżam się do Náchodu. Co jakiś czas ten znak, a pod nim tabliczka „3 km”. Z nikim się nie mijam. Nikt nie wyprzedza.

Wreszcie zapowiedź się spełnia. Droga zabarykadowana stalowymi beczkami i ciężkim sprzętem. Jeszcze tuż przed linią frontu stacja benzynowa, na której można zawrócić.

Z powrotem do najbliższego drogowskazu, stamtąd do następnego, dalej, prawie pod Trutnov...

Náchod trochę jak Trutnov, bo browar. Ale już w odcieniach błękitu. Może przez tę drogę po schodach na Górę Zamkową. Niebo i wieczór. Pierwszy łyk tutejszego *ležaka* w Górach Stołowych w poprzednim życiu. Náchod bardziej góry niż Trutnov. I jednak pierwszy albo ostatni odcinek podróży.

Za Náchodem Nové Město nad Metují. Jakieś rondo, zwężenia i ostre zakręty. Nie ma miasta, jest droga. Za Novym Městem znów rondo i drogowskaz na południe, na Rychnov nad Kněžnou.

Tutaj litery i słowa migocą. To, że Ziemia krąży wokół Słońca, widać gołym okiem. Gdyby Kopernik pracował w miasteczku o czeskim imieniu Rychnov nad Kněžnou, kilka lat wcześniej ogłosiłby *O obrotach sfer niebieskich*.

Najniżej, w barokowym folwarku, jest browar. Wyżej pałac, a pewnie jeszcze wyżej stare miasto. Niebezpiecznie tam samemu wchodzić – no bo z kim Rychnowem potem

się podzielię. Więc wchodzę tylko w bramę browaru. Mają niepasteryzowane i niefiltrowane w litrowych butelkach otwieranych, tak jak w latach 70. otwierała się polska oranżada. Więc migotliwy Rychnov w formie perlistej Kněžnej ze sobą.

Niebo w przewodzie i oparte o las niezbyt dalekie perspektywy. Że wzgórze, to coś się dzieje. Droga z północy na południe, z góry na dół. Tak prosto jak się da. Aż po Ústí nad Orlicí. Tam pociąg do Pragi budzi nostalgię, że chce się wsiąść.

Ústí nad Orlicí jest jak kolorowy motyl, który trwa tylko chwilę. Kruche, jak aleja smukłej strzelistej topoli prowadzi w zaświaty. Jest labiryntem. Mijam Ústí nad Orlicí i pozostaję w Ústí na wieki wieków.

Zmrok. Żółta poświata za półokrągłym wzgórzem porośniętym akacjowym młodnikiem. W przeciwległym oknie – tym na wschód – prawie ciemno.

Ta podróż jest jak pierwsze spełnienie.

Ostrożne, powolne, właśnie z góry na dół. Od głowy, która jest na wysokości Trutnova. Rychnov jest torse, niżej Ústí. Dalej Svitavy i Letovice: stroma góra z białym renesansowym zamkiem i *náměstí*. Widoczna ze wszystkich stron świata.

W Letovicach można zrobić unik. Skręcić w prawo, na zachód. Na przedmieściu domy ustawione kalenicą do ulicy, którą zdaje się płynąć rynsztok. Po prawej, za zabudowaniami, spora i kręta rzeczka. Prosta droga, a potem rozdroże z kapliczką pośrodku, trzeba ją minąć z lewej. A potem ostro pod górę wśród pól do białego płaskowyżu, który na horyzoncie ogranicza las. W lewo i prosto. Obok zamaryłych w ruchu kilkudziesięciu saren.

Jak Zelená Hora jest z początku XIX wieku, tak Polička z XIV. Mury obronne, kościoły i domy z kamienia. Surowo i strzeliście. Średniowieczne cmentarze, rosochate, puste w środku lipy i dęby.

Ale droga do Poličky trudna i w sumie zbędna. Łatwiej w Letovicach pojechać prosto. Zmierzając z południowego zachodu na południowy wschód – i pokonując przestrzeń tak łatwo jak chmury – od jakiegoś czasu mam jeszcze prościej, bo z góry na dół. I tak będzie po Brno.

Za tę łatwość czasem trzeba zapłacić. Walutą jest lęk wysokości. Kilkanaście kilometrów za Letovicami auto długie kilometry zjeżdża stromym stokiem. Spada w przepaść, w topografię miasteczka, którego imienia nie zarejestrowałam. W siatkę ulic i prostą linię kolejową – z Ústí nad Orlicí, a nawet z Náchod – na południe.

Więc zjeżdżam, zsuwam się tak prosto po mapie aż po austriacką granicę. Gdzie trzeba znów wykręcić na południowy wschód. Tam skąd wciąż bije serce Wielkich Moraw.

## II. Teraz Franz ma właśnie tak. Ma lot. Z kozim mlekiem i tą butelką, z której jak gin wyszła Vlasta

Na rynku w Hradec Králové Franz kupuje ogórki i paprykę. Przyjechał za zdrowym warzywem, którego próżno szukać w małych sklepach prowadzonych przez



Wietnamczyków i marketach najpopularniejszej czeskiej sieci *coop*. Od babuleńki z peryferii Jaroměra wziął jeszcze kostkę białego sera własnego wyrobu. I jeszcze pół litra koziego mleka i dwa litry mleka krowiego.

Na mleko długo się gapił. Gapił i wybierał mleko w butelkach po mleku i zaraz rezygnował, gdy kobieta prostowała, że to nie mleko, lecz maślanka. Franz kręcił nosem i wydumał sobie, że już lepiej wziąć to mleko w plastiku po *kofoli* niż po wodzie: *magnezji* albo *matonim*. Kola bowiem jakoś dezynfekuje z tej śliny nie wiadomo kogo, kto pił z butelki. Więc kiedy wreszcie zdecydował się na te po *kofoli*, kobieta znów zbiła go z pantałyku, bo to też maślanka. Wziął więc mleko krowie w dwulitrowce po wodzie, a kozie w małej po *nestea green tea*. Nie był przekonany, czy robi dobrze, kupując zdrowe mleko w niezdrowych, używanych pojemnikach. Raczej źle zrobił, ale pragnienie posiadania mleka od zwierząt niekorporacyjnych było większe niż te myśli nieczyste.

Dopiero w domu mleko okazało się nie lada orzechem do zgryzienia. Gdy więc zdrowe – bo mające bezpośrednie przełożenie na rozwój kory mózgowej – i czyste orzechy włoskie wały się po podwórku sąsiadów, usiadł spokojnie przy kuchennym stole. Po długim namyśle zdecydował, że krowie pójdzie na kwaśne.

Wziął do ręki kozie *nestea green tea* i zaczął na głos czytać etykietę. Szybko ten głos uwiązał – nawet uwiązał – w gardle. Podczas gdy wywalone wielką czcionką 30% poszło gładko, to słowa po polsku „*mniej cukru\*\*\**” (tak właśnie – z trzema gwiazdkami), i z wielkiej litery „*Naturalnie*” uświadomiły, że w butelce wraz z kozim mlekiem jest ślina pochodząca zza północnej granicy. Nie, na pewno nie będę pił wprost z butelki – konkludował szybko. Choć najczęściej jednak pił właśnie w ten sposób.

Nalał mleka do filiżanki. Powąchał, a w przelatującym przez zęby gorzkawo-kwaśnym smaku znalazł słodycz. Znaczący się najpierw była czyjaś ślina, zaraz mleko wydało się odrobinę wodniste, a potem było już tylko dobrze. Sięgnął po butelkę i poczuł usta trzydziestoletniej dziewczyny, która zanim zrobiła pierwszy łyk, przeszła *nestea green tea* swymi oczami. I tak niespiesznie łykając łyk za łykiem, zostawiła pustą flaszkę na ławce przy stacji benzynowej *Benzina* w Hradec Králové.

Z każdym łykiem koziego mleka Franz wie więcej. By wiedzieć jeszcze więcej, pije wprost z butelki. Przy tym szybko uświadamia sobie, że ilość płynu jest ograniczona i że nie powinien pić łąpczywie. Łyka więc dalej, ale już tylko łyczkami. Zamyka oczy i spostrzega mnie. To moje imię nie jest znane w Polsce. Vlasta, czyli własność, siła, osobność. Staroczeskie imię skrojone na podobieństwo współczesnej bizneswoman i feministki. Ta, która siada na koniu i walczy z obcym męskim plemieniem, starożytna amazonka. Bojowniczką o wolność naszą i waszą, czeską i polską. Modliszka wyciągająca z samca całe dobro, by zaraz dopaść świeże mięso. Mięsożerna, ale z kilkuletnim doświadczeniem wegetarianizmu.

Tak czyta z moich ust, które pozostały na szyjce *nestea green tea*. Znajduje to, co jadłam, zanim sięgnęłam po napój – batonik *kinder bueno* – ale zaraz wie, czym żywiłam się przez całe życie. Czyta też z nich dane dotyczące miejsca zamieszkania, no i sporo dowiaduje się o moich przodkach. Franz to łebski facet, ktoś na kształt Franza Kafki. Zresztą jego matka, Milena, zawsze podziwiała Kafkę, choć znała go tylko z książek. No i nasz Franz ma w sobie coś z medium, posiada zdolności nadprzyrodzone, szósty zmysł, jak to się dziś pięknie mówi. A i te jego „zwykłe” zmysły – choćby węch – są nadludzkie, zwierzęce.

Nazwa tego jej miasta (miasteczka?) to z czeskiego – Zelená Hora – docieka delektując się mlekiem. Czy wielkie, czy małe – tego Franz jeszcze nie wie. Pierwszy raz usłyszał tę nazwę właśnie teraz, mając w ustach łyżek koziego mleka nadpity wprost z butelki. Temu samemu łykowi towarzyszą imiona jeszcze w dwóch językach: polska Zielona Góra i niemiecki Grünberg. Grünberg jest poważny, zacy i wypełniony treścią, Zielona Góra zaś niepoważna, płytka i naiwna. Kojarzy się z Zielonym Wzgórzem od Ani, kolorowym i pensjonarskim. Ale z kolejnym łyżkiem Zelená Hora w wyobraźni Franza jest miastem akwareli Adama Bagińskiego, a Zielona Góra z pensjonarskiej przemienia się w mroczny pejzaż wprost z obrazów olejnych Józefa Burlewicza. Te nazwiska i obrazy, rzecz jasna, też wyszał z kozim mlekiem, choć anonimowa koza przecież nie może być jego matką.

Gdy Franz ssie, wacha i węszy, płucze mlekiem usta, gdy tak poczyną sobie z nim niczym sommelier podczas degustacji w ciemno, nagle przypomina sobie, że świat stoi u progu katastrofy. Będzie trzecia wojna światowa. Tak pisze na swoim blogu ukraiński minister obrony. Z tym że ukraiński minister kracze o tym, o czym Franz wie dawno. Może nie tak dawno. Ale na pewno od tej chwili, gdy Rosjanie zestrzelili azjatycki samolot pasażerski z Holendrami i fachowcami od AIDS na pokładzie.

Rzeczywistość jest już tak smaczna jak fikcja. W zasadzie – by pisać scenariusz, nie trzeba jej zmieniać. By stworzyć film pełen zwrotów akcji, wystarczy trzymać się prawdy. Rzeczywistość staje się nieprawdopodobna. Może aż tak, że niewielu ludziom udaje się za nią nadażać. Ba, nikt za nią nie nadaża. Nie bardzo czujemy ten nowy świat, bo jest on tym, który znamy z fabuły, i przez to świat prawdziwy pozostaje jakby za szybą. Intensywność najprawdziwszej prawdy przerasta percepcję jednostki. Do takich dawek nikt nie jest przyzwyczajony.

I nie tyle trzeba bać się wirusa Ebola, co tego, czym tknięty jest już może nie każdy mieszkaniec Ziemi, ale każdy Europejczyk. Jeśli nie zginąłem w samolocie albo w szambie w polskiej wsi o nazwie Karczówka, to czy nie zostałem rażony odpryskiem pocisku z wyrzutni typu Buk albo odorem, przez który zginęli ludzie chcący pomóc ludziom? Jeśli w Karczówce z ośmiu osób idących na ratunek mężczyźnie przeżyła tylko jedna, to to oznacza, że siedmiu spośród ośmiu przedstawicieli naszego gatunku już nie ma.

Albo tych siedmiu jest skazanych na zagładę. Taka jest prawda rzeczywistości, choć ta zdaje się jak fikcja.

Takie myśli nawiedziły Franza nazajutrz. Po tym jak wieczorna mgła, niebezpiecznie podchodząc do okien, usiadła na wzgórzach zachodniej części miasteczka. W zasadzie ta mgła go uspokoiła. Mgła skraca przestrzeń, świat staje się niewidzialny, przenosi do sfery wyobraźni, gdzie nie tyle rozrasta się, co hibernuje. Więc przez mgłę spojrzął prawdzie w oczy.

I podczas tego nawiedzenia Franza słońce wyrasta spod ziemi. Przyuważył je, gdy mniej więcej połowa tarczy znalazła się na pagórze na południowo-wschodnim krańcu horyzontu. Zresztą widoczność ma tu słabą. Z jednej strony nasypy twierdzy Josefov, z drugiej to wzgórze, które całkiem blisko – bo na jakieś dwa kilometry – wyznacza kraniec horyzontu. I zaraz w kuchni jego wzrok trafia na butelkę z mlekiem na kwaśne, a za chwilę na tę z napisem *nestea green tea*. Prawdą prawdziwszą, a przynajmniej bliższą, niż ta płynąca ze świata – na który przecież nie ma wpływu – jest ta wyszana z kozim mlekiem.

Jest noc z czwartku na piątek. Od kilku dni Franz słucha tylko polskiego radia. Że do granicy niedaleko, Trójka odbiera tutaj całkiem dobrze. Bez szumów i zakłóceń. Jerzy Sosnowski prowadzi audycję o literaturze zbójczej. Franz zna temat. Najpierw *Zamek* Franza Kafki, dalej *Siddhartha* Hermanna Hesse, *Słowa* Jeana Paula Sartra, *Mur* tegoż, *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta, *Zniewolony umysł* Miłosza, Josif Brodski, opowiadania Julio Cortazara i *Gra w klasy*.

Franz wie, że literatura zbójcka daje wolność. Ale daje ją wtedy, gdy masz szesnaście czy siedemnaście lat. Tak przed dwudziestką i może odrobinę po. Daje wolność totalną. Odcina od świata powszechnego i telewizyjnego. Po takiej lekturze, o ile przychodzi w odpowiednim czasie, człowiek staje się jakiś inny. Bliżej nieokreślony dla ogółu, niejasny, wręcz groźny. Znaczą się, przekracza granice, a potem trudno mu stamtąd wrócić. Na co dzień wybiera najtrudniejsze wyzwania, robi rzeczy niemożliwe. I ma tak do końca.

Teraz Franz ma właśnie tak. Ma lot. Z kozim mlekiem i tą butelką, z której wyszłam jak dzinn. Zupełnie jak Jarmila, ta kelnerka u Kocoura, która w każdy piątek raczy swoich gości najlepszym piwem. Jedenastostopniowym Otakarem z *Měšťanského pivovaru v Poličce*.

Jarmila. Wiek taki, że tylko zbójckie książki czytać. Może tak podrzucić Hrabala. Ten długimi, kolorowymi wywodami i opisami i subtelnym erotyzmem skieruje jej oczy na to, co materialne i ponadmaterialne, co wiruje gdzieś ponad jej głowę niczym aureola, co ma wymiar fizyczny i metafizyczny. Bo Hrabal to metafizyk – z tego, co jest, wyciąga to coś więcej. I jak ona zobaczy tę aureolę nad swą farbowaną na blond czarną czupryną, to już nie spuści z tej aureoli wzroku. Już będzie miała na nią baczenie, już nie popuści tym siłom wyższym, o jakich dotąd nie miała pojęcia.

Jarmila niemal tańczy, podchodząc do Franza z kolejnym, niezliczonym, jednak skrupulatnie odnotowanym kolejną kreską na wąskiej kartce leżącej tuż obok prawej ręki Franza piwem. A potem, odchodząc, nie spuszcza z niego wzroku. Jakby sprawdzając, czy to Franzowi tak samo smakuje jak poprzednie. I wodzi za nim wzrokiem, podając piwko innym osobom siedzącym w knajpie. Kobietom i mężczyznom na co dzień pracującym – tak jak Franz – w firmie *Pevnost Josefov*.

A Franz chłodno waży los Jarmilki. Trudno jej się oprzeć. Piękne niebieskie oczy, zdrowe dwudziestoletnie ciało, powabne długie nogi, biała szyja, duże piersi, zniewalający uśmiech. Jarmila cieszy Franza. Ale gdy Franz jej ulegnie i pozwoli jej zobaczyć tę aureolę, ona nie poprzestanie na Josefowie. Ani na marzeniu o swoich czterech kątach, gromadce dzieci i mężu, któremu będzie podawała piwo za piwem.

### III. Dom przy samej ulicy, więc ogród musi być za domem. Niewielki, wpisany w prostokąt. I za nim płot i furtka do następnego ogrodu

Żeby ominąć Ústí, można przez Ostrawę lub Pragę. Pierwsza opcja wiedzie trasą A4 do Gliwic, gdzie trzeba skręcić na południe. Że jesteś wciąż na wschodzie, wiesz po ilości czasu, który przecieka między palcami. Kolejki przed punktami poboru opłat są podobne do tych, co za PRL-u ustawiały się na przejściach granicznych z NRD albo Czechosłowacją.

Droga z Ostrawy na Brno na płaskowyżu. Jeszcze większe perspektywy i kręgi niż te w okolicach Jakubowa. Doliny ograniczone łagodnie wznoszącym się stokiem dopiero gdzieś na granicy widzenia. Z tym że aż tak do końca szeroko i wzniosłe tylko po lewej, wschodniej stronie. I właśnie tam – na wysokości Hranic, Opatovic, Lipníka nad Bečvou – pojawiają się ostro zarysowane cienie Karpat. Równoległe do tej trasy biegnie autostrada D1, w dolinie rzeki Váh i już na Słowacji. Między Nitrą a Žilíną Nové Mesto nad Váhom, Trenčín, Dubnica, Ilava, Hatné, Plevník-Drienové. Jasienica, Bytča, Dolný Hričov...

Można się zgubić w dziwnie, ale blisko i bliżej brzmiących nazwach. Višňové. Dźwięcznie, a jednak twardo, bo język odbija się od podniebienia. Głoska é przydaje nieskończoności pozostającej w jakimś tajemniczym związku z przepaścią. Nazwa jest konkretna, krótka i celuje w melancholię. Ogłusza. Może nie tak jak karpacki pastuch, który w nurcie rzeki Váh rybę pozbawia świadomości za pomocą pręta – a jednak szeroko otwiera oczy i na moment zakłóca percepcję. Wciąga pod lustro szeroko rozlanej – jak pod mostem prowadzącym do Bytčy – rzeki.

Višňové tuż tuż pamięci przodków. Jakbym miała w garści coś, co dobrze znali, a jednak to nic konkretnego. Same dźwięki, słowa, kształty i zapachy. Tylko skąd znane? Stąd? I jakich przodków?

Siedemdziesiąt kilometrów za Ostrawą trasa zaczyna skręcać na zachód. I aby zachować wierność w stosunku do wcześniej obranego kierunku, muszę zbroczyć w lewo. Na

Lipník nad Bečvou i Přerov. Ulga i uczucie wolności, gdy wydostają się z nudnego już płaskowyżu i zjeżdżam w dół doliny. Wśród pół pastelowe wsie i miasteczka – Horní Moštěnice, Břest, Hulín. Litery z daszkami albo kreseczkami wykręconymi w prawo lub lewo robią swoje. Nie można nie sylabizować imion, nie wrócić do nich. Na Kroměříž jak na Brno – w prawo, Uherské Hradiště prosto. Droga nr 55.

A że *svoboda* odpręża, to przywołuje zmęczenie i sen. Auto nie chce jechać prosto, nie trzyma się drogi. Dopiero Staré Město, przed którym duża żółto-pomarańczowa tablica, przypominająca o niebezpieczeństwie promieniowania radioaktywnego – budzi, każe mieć się na baczności. I choć z pozoru groźna – napis smakuje tajemnicą, wywołuje ciekawość: *Památka Velkomoravské říše*.

Dalej Kunovice, Ostrožská Nová Ves, Uherský Ostroh. I wreszcie droga do źródeł wschodu. W tle alei brzozowej dwa potężne i łagodne stoki. Jeden nachylony w kierunku południowo-zachodnim, drugi na zachód. Pokryte winem, które przywędrowało tutaj w IX wieku z Cyrylem i Metodym. Podobnie jak heretyckie pacyfistyczne chrześcijaństwo i głągolica.

Blatnice pod Svatým Antonínkem, a dalej kraniec świata – góry. Choć nie należą do świata ludzi, wieśniacy ruszają tam, by pielęgnować wino. Jakby mieli specjalną przepustkę.

Dom przy samej ulicy, więc ogród musi być za domem. Niewielki, wpisany w prostokąt. I za nim płot i furtka do następnego ogrodu. Ostatnie liście na drzewach stojących we mgle. Październik. Długa i wąska działka i ogrody jakby żywcem wyjęte z pamięci.

W pierwszym letnia kuchnia i róże. W tym drugim rzadko rosnące drzewa. Z przodu orzechy, potem jabłonie, węgierki, grusze. Spory warzywniak i znów pojedyncze drzewa.

Przecieram oczy, jakbym cofnęła się jakieś 35 lat. Jestem tutaj przypadkiem, przejazdem, nocleg, jutro znów w drogę. Cel? Nieznany. Jak wyobrażam sobie mapę i ten południowo-wschodni kierunek, to tam musi być Morze Czarne. A tutaj zaczarowany ogród. Zupełnie jak tam. Tutaj Moravia – tam Silesia, w linii prostej 400 kilometrów.

I tu, i tam na południowej ścianie domu winogrona. Jasne i luźne, zdaje się odmiany chrupka złota. Pamiętam, jak zbierałam z drabiny opartej o ganek. Gdzieś musi być zdjęcie. I tu, i tam wejście do domu właśnie od ogrodu. I przez ganek, w którym można grać się w południowym słońcu lub – przesuwając się głębiej na ławce, a w zasadzie na desce od ściany do ściany – chować w cień. I nad gankiem – zamiast od ulicy – kwadratowa tabliczka z numerem 17 i nazwiskiem właściciela.

Dwa oblicza tego samego domu. Ulica, czyli zgiełk, a od ogrodu – od dzieciństwa – po teraz nieskończony czas przeszły.

Ciemna i wilgotna ziemia, którą szeleszcząc drobnymi kamieniami, przecina szpadel. We mgle dym z ogniska, tłą się liście i gałęzie. Jeszcze ten intensywny zapach przekopywanej pod warzywa ziemi; woń marchewki uwalnia się, gdy wyciągam korzeni.

Drugi ogród ograniczają tory, droga czy pole uprawne – a jednak pozostaje nieskończony. Olbrzymi, jak nocne rozgwieżdżone niebo. Babciny ogród, co już wtedy nosił w sobie tajemnicę. Niezbadany i płodny w poniemiecką porcelaną. Biała z niebieskimi wzorami znalazła honorowe miejsce w starym kredensie stojącym w kuchni. I nie była na co dzień używana, chyba nawet w ogóle nie była. Kuchnia z widokiem na ogrody to okno po lewej stronie ganku (gdą stoję przodem do domu).

I co jeszcze skrywa kredens, szafy i ta ziemia? Co ta tutaj i co ta tam? Co łączy oba ogrody poza podobieństwem widocznym gołym okiem? Co to w ogóle jest to coś „nad”, schowane w łacińskim pojęciu *meta*, co decyduje o pokrewieństwie? Albo: dokąd prowadzą te długie ogrody?

Następnego dnia chwilę przed południem wsiadam do auta. Na światłach przed jakąś wsią wyciągam kosmetyki i maluję oczy. Przypominam sobie, że we wtorek przed Jakubowem też malowałam się, ale dopiero teraz czuję jego wzrok. Dopiero teraz wiem, że wtedy mnie mijał. Moja twarz była w dłoniach i może jej nie rozpoznał. Może nie słyszał, jak myję twarz. A jednak, jak mógł nie słyszeć. Jeśli zawsze tak dobrze słyszał moją skórę, moje ciało. I wtedy gdy siadał za kierownicą, a ja malowałam się, bo w domu do ostatniej chwili byliśmy zajęci sobą.

Uherské Hradiště. Chrzestna wspominała, że właśnie z Hradiště miał pochodzić mój pradziadek. W zasadzie niczego o nim nie wiem. Poza tym, że miał na imię Ludwik i że w roku 1911, gdy na świat przyszła moja babcia, nawiał do Ameryki. Znaczy wyjechał za chlebem i po kilku latach ślad po nim zaginął. Chyba w ogóle kobiety w naszej rodzinie miały takie szczęście do mężczyzn. Babcia – ta z tego domu z winogronami, ogrodami, gankiem i porcelaną – też szybko straciła męża. Zmarł na zapalenie płuc dwa lata po tym, jak na świat przyszedł mój ojciec, w roku 47. Już na obcej ziemi, tej odzyskanej od Niemców, gdy Zelena Hora znalazła się w granicach Polski, a Sudety wróciły do Czech.

W księdze parafialnej babci Eleonory Michaliny czytamy „parentes: Terpliwy Ludvicus molend. fil. Ignatii et Josephinae Čapek; Bartosiewicz Bronisława fil. Ferdinandi et Michalinae Sługocka”.

Czy Ludwik, syn Ignacego i Józefiny Čapek – podobnie jak Eleonora – urodził się „oppido Zawalów” w powiecie Podhajce, czy gdzie indziej – na przykład w Hradiště? Prawdopodobnie w Zawalowie. Nie wiem tego na pewno, bo nie dotarłam do jego metryki. Sądzę tak na podstawie danych jego siostry, Franciszki, rodzonej w roku 1872 właśnie w Zawalowie. Natomiast z metryki Eleonory dowiadujemy się jeszcze, że jej chrzestnym był Jan Sokołowski, mąż Franciszki z domu Terpliwej.

Skoro tak, skąd ta wiedza chrzestnej o Hradiště? Może miała na myśli to, że ojciec Ludwika pochodził stamtąd? No i skąd to nazwisko Terpliwy? Jaką ma etymologię? W Czechach takie nie występuje, chociaż żona Ignacego – Józefina Čapková nie budzi wątpliwości. Osób noszących nazwisko Čapek jest w Czeskiej Republice coś koło 25 tysięcy.

Więc Terpliwy Ukrainiec? Żyd? Na stronie MyHeritage znajduję Davida Terpliwego, który w 1901 roku znalazł się w Antwerpii.

Jestem trochę przerażona chmurami, przypominającymi kłęby dymu. Jakby gdzieś tam na zachodzie świat płonął, i te chmury kojarzę z dymem albo deszczem. Cały dzień porwane niby sieci rybackie, prześwitujące, cienkie, powyciągane, sprute. Momentami szczelnie zasłaniają niebo, a czasami pozwalają na więcej słońcu. Potem noc jasna księżycem, który blisko pełni. Porwane chmury, biało-niebieskie, rwące. Wiatr uderza w dom, dudni, stuka. Uderzenie, a potem cisza, chwila przerwy.

Zamykam oczy i słucham, wsłuchuję się i utożsamiam z drewnianą bryłą, która ustawiona burtą do wiatru, ale nie takim wiatrom nie uległa. W księgach znalezionych na babcinym strychu czytałam, że wieje wtedy, gdy umarli patrzą na świat. Patrzą najmocniej albo najwięcej ich patrzy w porze późnej jesieni i na początku zimy. Teraz patrząc, przewracają drzewa i zrywają dachy, jakby to patrzenie wyrwało się spod kontroli.

Po świcie chmury znów płyną z północnego zachodu na południowy wschód. Idą w kierunku brudnożółtej zorzy. W ciemnoszarych smugach jasnoszare szczeliny. Z drugiej, zachodniej strony nieporuszone szare sklepienie.

Czy ten wiatr, kojarzony z duszami umarłych czekających na zmartwychwstanie, to na pewno zamierzchła przeszłość? Bo przecież nie ma Żydów zmierzających z Moraw na Śląsk albo z Podola na Morawy. A może to, że wiatr pozostał, oznacza, że umarli wciąż czekają na Mesjasza i patrzą na nas z góry.

Patrzą jak Vlasta, ostatnia heretyczka morawska i ostatnia żydowska, przemierza trasę ze Śląska na Morawy i z Moraw przez Śląsk na Podole. Droga układa się w literę *taw*, w hebrajskim zapisywaną ת: najpierw stromo z góry i z powrotem w górę. Potem wysokim płaskowyżem i pionowo w dół. Jak w Višňové.

To ostatni znak hebrajskiego alfabetu. Symbolizuje ukończenie pewnej drogi, ale koniec ma swoje następstwo. Bo z ת trzeba przejść do א (alef), pierwszej litery. Może z tą moją drogą jest trochę tak, jak z reinkarnacją – tylko ile razy będę musiała ją pokonać.

Pamiętam, jak we śnie Franz objaśniał mi, czym jest świat u Żydów. Że zamyka się w literze ת. W tarocie to naga kobieta opleciona wężem. Symbolizuje mądrość, przez mistyków nazywaną Szechina.

Szechina – tłumaczy Franz – jest pojęciem i doznaniem zmysłowym. Jej dowodem jest zapach, któremu odpowiada żywioł ziemi.

Zapach jest śladem w powietrzu, skutkiem Szechiny.

Trudno go określić, nazwać, skojarzyć z czymś poza samą Szechiną. Pochodzący z ziemi i z powietrza, bo powietrze jest emanacją ducha, czyli obecnością osoby albo rzeczy (która nie jest obecna fizycznie. Albo – jak mówi Franz – tylko wydaje się, że nie jest obecna fizycznie).

Szechina powietrzu nadaje inny ciężar. Jednak Franz nie wie, nie potrafi powiedzieć, czy powietrze staje się przez to lżejsze czy cięższe, rzadkie czy gęste.

Jak twierdzi, na pewno staje się znajome, bliskie, nie jest obce. A może – zastanawia się jeszcze – nie jest obce, bo związane z określoną siłą, która każdego przerasta; wobec tej siły nie można być obojętnym i nie można jej nie ulec.

Szechina, czyli obecność Boga, jak ta w krzewie gorejącym. Ogień tego krzewu ma inne ciepło, inną konsystencję niż każdy inny ogień. Ponad wątpliwość jest obecnością.

Franz opowiadał mi kiedyś, że czuł obecność kogoś, kto go przerasta, gdy schodził z wiaduktu. Wiedział, że ktoś idzie obok niego i nawet czuł, że ta moc dotknęła jego ramienia albo otarła się o jego ramię niczym wiatr. Opowiadał, że potem jeszcze raz doznał czegoś podobnego. Choć nie był pewien, czy to drugie doznanie nie pochodziło ze snu. Franz mówi też, że zobaczył Szechinę w oczach, w których jest wschód.

Teraz żeby czegoś nie zepsuć: Franz mówi, że Vlasta jest Szechiną. Że spotyka mnie w miejscach, w których byłam kilka godzin albo kilka dni wcześniej. A może również w tych, w których jestem, ale nie fizycznie. Że znajduje moją obecność; albo raczej – spotyka się z moją obecnością. Mówi, że poznaje po zapachu i konsystencji powietrza. Poznaje mnie w przedmiotach, których dotykałam, albo tych, na które patrzyłam.

To fakt: gdy spotykam go – jak na tej stacji benzynowej – patrzy jak w krzew gorejący. Znaczący wie. Albo wie to, czego sama nie wiem.

[...]